

"PRZEGLĄD POWSZECHNY"



**CHRZEŚCIJAŃSKI MAŻ STANU
DON GABRIEL GARCIA MORENO**



KRAKÓW 2020

www.ultramontes.pl



CHRZEŚCIJAŃSKI MAŻ STANU

Don Gabriel Garcia Moreno

"PRZEGLĄD Powszechny"

Życie jest probierzem nauki – niekiedy i komentarzem. Zasadom katolickim nigdy tego probierza i komentarza nie brakło. Chrześcijańska cnota w życiu rodzinnym i obywatelskim – jakiej wdzięczny typ przesunął się w "Przeglądzie", w osobie księżnej Galicynowej (1) – nie jest, Bogu dzięki, rzadkością w dzisiejszym społeczeństwie. Harmonia głębokiej nauki ze szczerą wiarą, której wizerunek widzieliśmy w "Prawdziwym uczonym" (2), jest może rzadszą, bo *scientia inflat*, lecz i ona niemało w naszych czasach liczy przedstawicieli. Atoli gdzież szukać typu zgodności zasad Ewangelii z życiem publicznym? Encyklika *Immortale Dei* przedstawiła nam ideał chrześcijańskiego państwa: cały świat, przyjaciele i nieprzyjaciele, uznali podniosłość i piękność tej nauki. Ale czy ten ideał może się wcielić w życie, wśród takich czasów jak nasze? czy jest możliwy w XIX wieku mąż stanu katolicki? a jeśli jest możliwy, jakież mogą być skutki jego działalności?

Taką właśnie postać chrześcijańskiego męża stanu, żywy komentarz do Encykliki Leona XIII, chcemy przedstawić. Gdzież jej będziemy szukać? Europa dzisiejsza, choćby była mniej uboga, niż jest w takich ludzi, nie byłaby odpowiednim dla nas polem do podobnego studium. Sąd historyczny wymaga odległości – jeśli nie czasu, to przynajmniej miejsca – ażeby się było poza sferą namiętności i stronnictw, jakie każda polityczna działalność wznieca. Przenieśmy się więc myślą za morza, do tej Ameryki Południowej, gdzie ziarno naszej cywilizacji, przed czterema wiekami, przez kwitnącą wówczas Hiszpanię przeniesione, na tle bogatej natury i bezmiernych pampasów swobodnie się rozwija.

I tu warunki trudne, bodaj czy nie trudniejsze od naszych. Na tej bujnej ziemi i chwasty starej Europy rozkrzewiły się z niesłychaną wybujałością, nie zostawiając piędzi wolnej ziemi dla dobrego ziarna. Duch podziemnych knoń przetrwawia tu do szpiku chylące się do coraz większego upadku państwa, wolnomularstwo kwitnie, bezbożność się panoszy, przewroty rewolucyjne powtarzają się bezustannie. Powoli, wśród ciągłych zamieszek i wojen bratnich, nikną szczątki dawnej, hiszpańskiej oświaty. Postępy i podboje tak świetne starej cywilizacji, zatrzymały się, odkąd krzyż przestał być godłem rządzących. Pod znakiem zbawienia nawrócone plemiona, cofnęły się do barbarzyństwa, gdy zabrakło misjonarzy, aby ich utrzymywać w korbach obowiązków i przykazań chrześcijańskich.

Zauważyć należy, iż stosunkowo same tylko nadmorskie pasma wybrzeży amerykańskich są dziś zaludnione i cywilizowane. W głębi kraju gdzie dziś olbrzymie przestrzenie pustkowień stoją, w minionym stuleciu oświata chrześcijańska coraz dalej swe zagony rozszerzała. Misjonarze, mianowicie Ojcowie Jezuitów, zakładali wśród Indian gminy chrześcijańskie zwane Redukcjami, a wraz z podniesieniem moralnym tubylców szła w parze i cywilizacja, i uprawa roli i naprawa klimatu karczowaniem lasów, osuszaniem bagien. To co Benedyktyni dla Europy w X i XI działy wieku, powtarzało się teraz za przyczyną Jezuitów w Ameryce Południowej. Z ich wypędzeniem w końcu przeszłego wieku, wstrzymał się od razu postęp oświaty. Państwa straciły krocie obywateli, przez stopniowy powrót Indian do dzikości. Po dziś dzień mają się oni wprawdzie za chrześcijan, zaprzeczenie tego tytułu za największą uważają sromotę, ale stracili zmysł chrześcijański, poczucie zobowiązań wiary. Ameryka Południowa liczyłaby dziś dwa razy większą ludność, gdyby cywilizacja chrześcijańska w tym samym co w zeszłym wieku była postępowała stosunku. Wszędzie dziś widnieją materialne nawet skutki religijnego ucisku;

kwitnące osady upadają; dość np. przypomnieć, iż w Argentynie, przy ujściu Parany, z trzydziestu wielkich osad niegdyś przez katolickich misjonarzy założonych, w r. 1859 zaledwo pozostało ich dwie, a z 60 kościołów w jednej tylko okolicy zachowało się siedem walących się kaplic! Pijaństwo, niemoralność, bratobójcze walki, waśnie plemienne, zmniejszają wciąż ludność miejscową, napływowa nie starczy, aby powetować tego rodzaju straty, tym bardziej, iż emigracja zwykle męty zagraniczne przynosi na obce zagony. A gdy się to dzieje na ostatnich szczeblach społecznej skali, u góry panuje coraz większy rozstrój i zamęt. Brazylia dolicza ostatnich dni monarchicznych, Kolumbia się rozpada wśród dezorganizacji ogólnej, Peru nie lepszy przedstawia widok, Chile na pruską modłę zaborcze, anormalnie wzrasta, korzystając z słabości sąsiadów, jedno tylko wspólne hasło łączy te wszystkie różne i różnorodne państwa, oto nienawiść do Kościoła: *Kulturkampf*, niemal wszędzie jest dziś na porządku dziennym. Prześladowanie religijne się upowszechnia, w imię wolności i tam wolność sumienia bywa zakwestionowaną, bezkonfesyjne szkoły sposobią nowe, bez zasad wiary chowane pokolenia, aby światu nową przyszłość zgotować. Biskupi nieraz idą za kraty lub na wygnanie; ten sam los spotyka i świeckie i zakonne duchowieństwo. A jednak dzieło spoganienia nie jest snadź tak stanowczym, nie sięga dość głęboko, aby nasienie chrześcijańskie wyrwać z korzeniem. Nie darmo tu panowała katolicka Hiszpania, nie darmo pracowali apostołowie Prawdy. Ziemia uprawiona tylu znojami gotowa i dziś wydać bogate żniwa; pobożna i wierząca, byle odnowiono dawne warunki pomyślnego rozwoju i bytu dla uszlachetniających Kościoła wpływów.



Wymowny tego przykład znajdujemy u stóp Kordylierów, w Rzeczypospolitej Ekwadorskiej. I tam przed ćwierć wiekiem nie lepiej się działo jak w pogranicznej Kolumbii lub Peru, i tam powtarzały się rewolucje, spiski, knowania podziemne, liberalizm siał nasienie niezgody, kraj moralnie i materialnie upadał. Nagle przeszedł tędy mąż Boży, który Bożą całym sercem popierając sprawę, i ojczyznę za jednym zachodem dźwignął. Mierząc wszystko łokciem naszych ciasnych, europejskich poglądów, mało się zajmujemy tym, co się gdzieś za morzami dzieje, za ledwie też z geografii wiedzieliśmy coś o istnieniu Rzeczypospolitej Ekwadoru, gdy wtem, przed kilkoma laty, jęły dochodzić zza oceanu zdumiewające wieści, iż tam gdzieś pod śnieżnymi Chimboraza szczytami, znalazł się rząd szczerze katolicki, który zaprotestował sam jeden przeciw grabieży i zaborowi Rzymu, że ideał państwa chrześcijańskiego odżył w XIX wieku w dalekiej Ameryce, że poświęcenie uroczyste całego kraju Najświętszemu Jezusowemu Sercu zwiastowało tam nową erę pomyślności i pokoju. Atoli za ledwie doszło nas imię twórcy tych niebywałych za dni naszych cudów, Prezydenta Rzeczypospolitej Ekwadoru, Garcii Moreno, już sztylet masoński to szlachetne przecinał życie, i męczeństwem je uwieńczył. Warto się przypatrzeć bliżej tak rzadkiemu w wieku naszym zjawisku, warto odtworzyć wizerunek postaci, która tak promienny po sobie ślad zostawiła, na zaciemnionym tle politycznego widnokręgu. Wbrew powszechnemu odstępowi od Boga i Jego zakonu, Garcia Moreno wychodzi z pewnika, iż cywilizacja nowożytna jest córką katolicyzmu, i że jako taka, skazaną bywa fatalnie na znikczemnienie i upadek, ilekroć się od zasad katolickich odłączy. Mąż innej miary i innego wieku, budował on na podwalinach czysto chrześcijańskich, wywieszał sztandary wiernej dla Kościoła uległości, opierał ziemskie dzieła o niebieskie nadzieje, mnożył błogie w skutkach instytucje, a jednocześnie najobfitsze, nawet doczesne zbierał swych znojów owoce. Pod wpływem szlachetnego Prezydenta rychło nastąpiło moralne i materialne odrodzenie całego kraju. Tym dziełom i tej postaci dziś nam hołd składać przychodzi. Będzie to jeden z najskromniejszych wieńców na grobie tego, którego Pius IX uczcił łzami i wyjątkowym w Rzymie pomnikiem, a któremu po chórze pochwał pism katolickich, rzewną poświęcił biografię ostatni potomek Goetza von Berlichingen, dziś w suknię zakonną synów św. Ignacego obleczony. Nie każdemu danym zająć wysokie stanowisko, i pchnąć swój kraj na inne tory; każdemu atoli w dzisiejszych czasach przypaść może w udziale wyznawstwo prawdy; każdemu przyda się wiedzieć jak można być

w XIX wieku katolikiem i w życiu publicznym, i jak zasady katolickie są nie tylko prawdziwe ale i życiodajne.



Rzeczpospolita Ekwadoru, po hiszpańsku *Ecuador'em* zwana, jest najmniejszym z państw Południowej Ameryki, co nie przeszkadza, iż równa się przestrzenią z Austro-węgierską Monarchią, tak olbrzymie są rozmiary geograficzne innych części świata, w porównaniu z naszą starą i małą Europą. Gdy bowiem Austro-Węgry obejmują 624.230 kilometrów kwadratowych, Ekwador z wyspami Galapagos dolicza się 650.938 kil. kwad. Ale za to różnica zaludnienia olbrzymia. Kiedy Austria ma przeszło 36 milionów mieszkańców, to Ekwador posiada ich tylko półtora miliona. Za ledwie pas nadbrzeżny między Oceanem Spokojnym a Kordylierami jest odpowiednio zaludniony i uprawiony. Dzikie pola na wschodnim Andów stoku pozostały dziedziną koczowniczych Indian, i większa przestrzeń kraju dotąd nie zaznała dobrodziejstw cywilizacji. Granice Ekwadoru stykają się na północ z Kolumbią, na południe z Peru. Od wschodu sąsiaduje z Brazylią, zachodni brzeg kąpie się w morzu. Oprócz stolicy Quito, o mniej więcej stutysięcznej ludności, głównymi punktami jest port w Guayaquil, miasto Cuenca i Riobamba. Śnieżno wulkaniczne Kordylierów szczyty tu bodaj najwyżej strzeliły w niebiosa: Chimborazo, Cotopaxi, Pichincha rzucają swój cień olbrzymi na kraj u ich stóp rozpostarty. Jakoż sąsiedztwo oceanu, równika i gór niebotycznych wytworzyło dla Rzeczypospolitej Ekwadoru osobne warunki klimatyczne, osobną też wzbogaciły ją florą. Wszystkie gradacje ciepła i chłodu znalazły się na stosunkowo ciasnej przestrzeni, stąd różnaitość płodów jest tu prawdziwie nadzwyczajna, a do szalonej bujności przyrody przyczynia się nie tylko wilgoć utrzymywana częstymi deszczami i liczbą rzeczek, ale nadto i stałość ciepłoty, która w każdej strefie zostaje zawsze jednaką. Stref tych aż trzy się znajduje w

Ekwadorze, a geografowie nazwali je: zwrotnikową, umiarkowaną i *subandina* czyli podgórną. W pierwszej dochodzą do niesłychanych rozmiarów tamaryndy, bambusy, mirtowe i laurowe drzewa. Pielęgnowana w naszych cieplarniach *Musa* rozacza tu dowolnie swe olbrzymie liście, mimozy i pasyflory dziko rosną, orchidee czepiają się skał beziemnych, a bogactwo przyrody wszelkie przechodzi wyobrażenie. Główne źródło dochodów kraju stanowi kakao, kawa i guma. W umiarkowanej strefie przodują chinowe drzewa, paprocie drzewne, fuksje, pieprze, wszelkiego rodzaju gramina, czyli kłosiste rośliny. Nareszcie *subandina*, czyli strefa podgórna, już nie zdumiewa rozszalałą żyznością i wybujałością natury, niekiedy rozszerza się w spalone pampasy, błyska nagimi wulkanicznymi pokładami, ale ma i doliny, gdzie zboża europejskie rosną w obfitości a rodzime ziemniaki, *solanum tuberosum*, tu, jako w ojczyźnie swojej nie skąpo się rozrastają. Dni tu równe są zawsze nocom, pory roku się nie zmieniają prawie: wieczna panuje tu wiosna. Zaledwie zwarzone upałem kwiaty zaczynają więdnąć i opadać, już nowe pączki wychylają się w pobliżu. Rzekoma zima na tym zależy, że częstsze, choć równie ciepłe padają deszcze. Słowem, pod względem klimatu i bogactwa przyrody, żaden może kraj na ziemi nie wytrzyma porównania z Ekwadorem. A i pod względem malowniczości, najpiękniejsze tu znaleźć można widoki i krajobrazy. Dojazd do Guayaquil mianowicie, w tak czarujący sposób otwiera dla przyjezdnych progi Ekwadoru, że wśród wielu zachwycających wrażeń z podróży po Ameryce, to zwykło się do najlepszych zaliczać.



W tym tedy wyjątkowo od Boga uposażonym kraju, przyszedł na świat Don Gabriel Garcia Moreno, a raczej "Don Gabriel", jak go poufale zwali jego współrodacy. Ojciec jego, z dawnej kastylijskiej pochodzący rodziny, nazywał się Gabriel Garcia Gomez, matka zaś Mercedes Moran y Moreno, była kuzynką kardynała Moreno, znakomitego biskupa Toledy. Don Gabriel urodził się w Guayaquil, w r. 1821. Rodzice jego nie byli zbyt majątni, a sześcioro dzieci wychować im przyszło. Jeden z braci został księdzem, drugi chwycił się handlu. Z trzech sióstr jedną mianowicie, nasz bohater najczulszym ukochał uczuciem: pędziła ona życie bogobojne i dobrotliwe, nie opuszczając rodziców, których do końca troskliwie pielęgnowała. Przez całe życie najtkliwszy węzeł miłości i czci łączył ją z bratem Gabrielem; w ciągłym z nim pozostawała stosunku, za niego ofiarowywała swe dobre uczynki i cierpienia, w niezłomnej nadziei i przekonaniu, że ów brat ukochany do wielkich jest powołan rzeczy. Don Gabriel ze swej strony uwielbiał tę wybraną siostrę, czcił ją jak świętą, i jej modlitwom i zasługom przypisywał powodzenie swych politycznych zabiegów. Umarła na krótko przed bratem, w najpomyślniejszej jego rządów chwili. Nierzadko w życiu świętych i innych znakomitych mężów spotkać można podobne przykłady siostrzanej miłości i opieki. Święta Scholastyka obok św. Benedykta wzniosłe na Monte Cassino zajmuje miejsce, Karolina Herschel dzieli trudy i wawrzyny wielkiego astronoma, pani Augusta Leigh osładza zgoryczone życie Lorda Byrona. Już starożytność sławiła ten ideał rodzinny, w Antygonie siostrze malując typ jeszcze wyższy od Antyfony córki...

Odebrawszy w domu pierwsze elementarne wykształcenie, Gabriel Garcia Moreno oddanym został do szkół w Quito, a ukończywszy gimnazjalne nauki, tamże przeszedł do uniwersytetu na kurs prawny. Obok jednak studiów jurydycznych, z upodobaniem uprawiał i nauki przyrodzone, do których osobny czuł pociąg. W celach naukowych podejmował nawet uciążliwe wycieczki na szczyty wulkaniczne Kordylierów, zaprawiając się do męstwa i wzgardy niebezpieczeństw. Gdy raz gwałtownie z krateru wybuchająca lawa strachem go przejęła, usiadł na samej krawędzi ognistej czeluści, aby przemóc przyrodzoną trwogę. I wytrwał na tym groźnym posterunku, choć olbrzymie głazy z otchłani z rykiem wypadały, dopóki serca nie oswoił z tak strasznym widokiem.



Pierwszy jego występ na politycznej widowni z następującej okoliczności wyniknął. Konserwatywne rządy sprawował w Quito zacny generał Flores, podczas gdy w Guayaquil przeciwnik jego Rocafuerte obejmował naczelnictwo partii liberalnej. Przyszło do bratniej wojny; Flores w r. 1845 zmuszonym został kraj opuścić, zwycięski Rocafuerte został prezydentem, a oraz rozpanoszyły się masońskie rządy. Nie ustały jednak stronnnicze zapasy, podkopując się wzajemnie proklamacjami i afiszami ulicznymi. Pojawiło się między innymi ulotne pismo, wytykające błędy i winy liberalnego rządu. Rozkazano natychmiast to pismo skonfiskować i zniszczyć. Oburzony tym zamachem na wolność prasy Moreno, ukrył inkryminowaną publikację, i z okien uniwersyteckich wobec tłumów ludu grzmiącym odczytał ją głosem. Daremnie próbowano go na gorącym pochwyć uczynku, zdołał ująć w bezpieczne miejsce; ale już w owym młodym wieku marzył tylko, jakby piórem i bronią, słowem i krwią do ostatka bronić Kościoła i ojczyzny. Ukończywszy niebawem studia uniwersyteckie świetnym doktorskim egzaminem, wstąpił do redakcji pewnego konserwatywnego dziennika. Nie było takiej kwestii bieżącej, społecznej czy politycznej, której by wówczas nie zbadał i nie rozebrał. Artykuły jego dziennikarskie zwróciły nań oczy rodaków, i niebawem rodzinne jego miasto Guayaquil obrało go swym deputowanym.

Uczestnictwo w obradach krajowego kongresu, nowe jego zdolnościom i żelaznej pracy otworzyło pole. Poznał on wielu ludzi, przekonał się, że w obozie konserwatywnym nie brakło zacnych żywiołów, brakowało tylko niestety ludzi gotowych do każdej ofiary i zbrojnych na każde niebezpieczeństwo. Za młodym był jeszcze, aby sam wystąpić w roli reformatora. W r. 1849 upadły rządy liberalne prezydenta Rocafuerta, w jego miejsce wstąpił uczciwy ale mało zdolny don Noboa. Kraj cały zawrzała niebawem bratnią walką, zamieszanie trwało dość długo; aż nareszcie generał Urbina, najczystszej wody mason, ogłosił się dyktatorem i samowładnie jął rządzić nieszczęśliwą Rzeczpospolitą.

Pierwszym jego krokiem było prześladowanie wypędzonych z sąsiedniej Nowej Grenady Jezuitów, którzy w Ekwadorze szukali przytułku. Jak zwykle, ostateczne ich wypędzenie przygotowywały dzienniki, mnożące oskarżenia, szkalowania i obelgi. Garcia Moreno wystąpił w obronie zakonu, broszurą zatytułowaną: *Defensa de los Jesuitas p. G. M.* Z gorącą wymową odezwał się na wstępie: "Nazwą mię fanatykiem, powiedzą że sam Jezuitą, skoro te karty wydają. Wszystko mi jedno. Jestem katolikiem i dumnym z tego tytułu się czuję. Kocham Ojczyznę, i przeto mam sobie za obowiązek dla jej dobra pracować. Dlatego nie godziło mi się milczeć w sprawie zarówno wiarę mą jak i kraj mój obchodzącej, ponieważ w niej upatruję związek i z ogólnym postępowaniem cywilizacji i z czcią Kościoła. Zresztą zawsze powołaniem moim i skłonnością było sprawę słabych i niewinnie uciśnionych za moją własną uważać".

Głos ten wymowny wielkie sprawił w kraju wrażenie – choć Jezuitów nie ocalił, i owszem na samego autora ściągnął wyrok wydalenia z granic państwa na wieczne czasy. Przy zmienności amerykańskich stosunków, nie był to zbyt groźny dodatek; tymczasem jednak musiał don Gabriel opuścić strony ojczyste i przez rok cały tułać się w górach Peruwiańskich. Wyrzucenie niemałego wówczas zaznał niedostatku, dopóki nie znalazł jako prosty wiejski nauczyciel ubogich dzieci, skromnych środków utrzymania. W 1852 r. przyjazna rodzina dostarczyła mu środków na podróż do Europy. Chcąc zużytkować przymusowe *otia* wygnania, udał się do Paryża, ażeby tam z wykładów uniwersyteckich korzystać. I znów ulubione nauki przyrodzone przeważnie czas jego zajęły, a chemia jak dawniej nęciła. Ale nie zaniedbywał i innych środków rozszerzenia pojęć swych i umysłowego widnoką. Między innymi studiował uważnie ustrój wojskowy armii francuskiej. Choć już trzydziestego pierwszego dosięgał roku, wracał ochoczo na ławę szkolną. Czuł on dobrze ile siły, ile nauki, ile doświadczenia należało wnieść za powrotem do rozdartej stronnictwami ojczyzny. Ceniąc ten drogi czas, usuwał się od czczych rozrywek wielkiego miasta. Nigdy noga jego w teatrze ni cyrku nie postąpiła; pracował we dnie i w nocy; ale wśród tylu przeróżnych nauk, najwyższą w czasie swego paryskiego pobytu osiągnął – upewniwszy się mianowicie, że w Bogu należy szukać siły, skutku i błogosławieństwa dla każdego przedsięwzięcia. Dotąd był on żarliwym synem Kościoła, teraz serdeczną i głęboką przejął się pobożnością. Nie chcąc ani opuścić Mszy codziennej, ani ominąć żadnej uniwersyteckiej godziny, niekiedy do czwartej po południu zostawał na czczo. Dni świąteczne w znacznej części spędzał w kościele, błagając Boga o pomoc dla swej Ojczyzny – dla siebie.

Uczęszczał do sakramentów, i taką zachował czystość obyczajów, że najsroźsi nawet wrogowie cienia w tej mierze na niego i rzucić nie zdołali.

Początek onego rozgrzania religijnego odnosił Moreno do następującej okoliczności. Znajdował się raz wśród towarzystwa swych ekwadorskich ziomków zebranych w Paryżu. Opowiadano o jednym z nich, iż na łożu śmierci jeszcze odmawiał pomocy religijnej i kapłana odpychał. Obecni powtarzali, iż każdemu wolno iść za własnym zdaniem, jeden Moreno z ostrą wystąpił negacją: "Źle to bardzo, powiedział stanowczo, za życia można się jeszcze wymówić lekkomyślnością i zajęciem, ale wobec śmierci odrzucać pomoc sakramentów, zaiste wielkim jest błędem". Na to jeden z obecnych szyderczo zapytał: – Doprawdy? przyznajże się Moreno, kiedyś ty po raz ostatni byłeś u spowiedzi? – Słowo to jak ostrzem przeszło jego serce, bo w rzeczy samej już od dość dawna nie był się spowiadał. W milczeniu spojrział na pytającego i opuścił zebranie. Długo przechadzał się po samotnym mieszkaniu, w gorzkiej pograżony zadumie. Nareszcie ukląkł, ale z trudnością zdołał się modlić. Postanowił jednak zwalczyć odporne serce i generalną odbyć spowiedź. Zebrawszy myśli i wspomnienia, udał się do kościoła, i przed pierwszym kapłanem, którego zastał w konfesjonale, skruszone z całego życia złożył wyznania. Odtąd spowiadał się co miesiąc, i wszystkie swoje zamiary poddawał Bogu przenikającemu czystość jego serca i intencji.

Tymczasem ojczyzna Moreny w coraz straszniejszym pograżała się rozstroju. Dyktator Urbina krwawo naznaczył lata swych rządów, nie było innych wieści prócz żałobnych odgłosów konfiskat, wyroków śmierci lub banicji. Ucisk zacnych ludzi do ostatecznych dochodził granic. Rozrywało się szlachetne Moreny serce na tak bolesne z kraju wiadomości. Wtem z rokiem 1856 nastąpiły nieco spokojniejsze czasy pod rządami umiarkowanego prezydenta Roblesa. Ten zezwolił na powrót wygnańca, i byłby go nawet chętnie zużytkował w jakim urzędzie. Rychło się jednak Garcia Moreno pomiarkował, iż Robles był współnikiem i narzędziem Urbina; wolał tedy usunąć się do czasu od publicznego życia, na innym polu służąc ojczyźnie. Objął katedrę chemii przy uniwersytecie w Quito. Słuchacze od razu poznali się na tak niepospolitym profesorskim i tłumnie na jego wykłady uczęszczali. Wydział nauk przyrodzonych nie posiadał ani laboratorium, ani instrumentów, ani żadnych chemikaliów. Rząd odmawiał subwencji, Moreno cały prawie własny poświęcił majątek na zapobieżenie tym brakom. Co więcej, chcąc rozpowszechnić nauki przyrodzone wśród szerszej publiczności, miewał publiczne odczyty o zastosowaniu chemii do przemysłu, rolnictwa i fabryk.

Odczyty te dały nowy popęd rękodzielnictwu i gospodarstwu krajowemu. W uznaniu tyłu zasług, Moreno niebawem obrany został rektorem uniwersytetu, a miasto Quito powołało go do godności Alkady, czyli radcy miejskiego i senatora.

Obok tych wszystkich zatrudnień, nie tracił z oczu Moreno i sztuki wojskowej. Doświadczenie go uczyło, iż tylko zdolny wódz mógł pokonać niesforne rebelizantów oddziały, i w karby ująć swawolne żołnierstwo. Rozczytywał się też nieustannie w książkach wojskowych. Słynął jako najlepszy z całego kraju jeździec, fechtmistrz doskonały, najcelniejszy strzelec. Ćwiczył się sam w obrotach lancą, tej głównej broni jazdy ekwadorskiej, przyglądał rewiom i manewrom, zbadał stan armii, jako oficer gwardii narodowej dowodził oddziałem, ubóstwiającym swego kapitana. I tak powoli przybliżała się dlań godzina czynu. Nie było zawodu ani sfery społecznej wśród której nie dałby się już był zaszczytnie poznać. Konserwatyści przekonali się, że on jeden mógł ująć rudel skołatanej tyłu burzami nawy państwowej. Postawili go więc jako swego kandydata do prezydentury. Tymczasem nowe wybuchły zamieszki. Ustanowiono prowizoryczny rząd trzech konsulów, wśród których znalazł się już i Moreno. Przyszło wkrótce do przelewu krwi. Moreno stał na czele armii stronnictwa porządku; ale zaraz w jednym z pierwszych starć, naraziwszy się nad miarę został ujęty w niewolę i doraźnie skazany na rozstrzelanie. Zwycięzcy tryumf swój sutą obchodzili pijatyką. Garcia Moreno znużony bitwą zasnął spokojnie, mimo grożącego mu nazajutrz losu. Zbudziwszy się w nocy, zaczyna modlitwą sposobić się na śmierć. Wtem spostrzega, że pijane żołdactwo niezdolne pilnej nad nim sprawować straży. Przedziera się więc przez uśpiony obóz, gromadzi naprędce oddział sąsiednich wieśniaków, powraca, zwycięża, sądem wojennym przywódców buntu poskramia, dyktatorem zostaje, aż z styczniem 1861, zebrani w kongres posłowie wynoszą go jednomyślnie na prezydenta Rzeczypospolitej Ekwadoru.

Odtąd przez lat piętnaście wszystkie jego usiłowania miały na celu dobro i pożytek kraju. Trzy mianowicie raki toczyły owo nieszczęśliwe państwo: ustalona w tych stronach rewolucja, wadliwa gospodarka finansowa, nareszcie ucisk Kościoła przez zwycięską sektę. Od piętnastu lat ciągle walki stronnice wydawały Ekwador na łup rabusiów, którzy na to tylko walczyli, aby kraj niszczyć – i wypróżniać kieszenie zwyciężonych. Armia żyła własnym przemysłem, nie otrzymując żołdu. Garcia Moreno zaczął od uregulowania miesięcznej płacy wojskowej; zaczem wydał najostrzejsze prawa przeciw wszelkim burzycielom, sam ich wykonania strzegąc i srogię wymierzając dla

przykładu kary. Uniwersytet w Quito dotąd gniazdem był spisków. Moreno postanowił złe w korzeniu podciąć. Znając stan wszechnicy i kierunek profesorów, na nowo rektorat w swoje ujął ręce, sprowadził z Europy kilku znakomitych profesorów, aby odnowić skażonego ducha starej instytucji. Zaprowadził wśród młodzieży karność tak, iż uniwersytet, który dotąd był plagą kraju i stolicy, od razu zmienił postać i powszechnie wzbudził uznanie.

Drugą raną toczącą państwo były nadużycia finansowe urzędników. Skarb rozkradzony, dług państwowy znaczny, podatki uciążliwe, nieład i rozbój w urzędach celnych, oto co zastał Moreno obejmując rządy. Nic nie robiono dla podniesienia kraju i przemysłu, komunikacje były jak najgorsze, brak gościńców i kolei żelaznych zupełny. Lud zniechęcony niestałością stosunków, tyle tylko szukał pracy i zarobku, aby z głodu nie umrzeć. Nie tylko więc należało skarbowość państwa do jakiego bądź przyprowadzić ładu, moralność urzędników podnieść, ale jeszcze wśród ludu rozbudzić uspięne poczucie obowiązku pracy i oszczędności. I znów nie tylko ostre prawa szybko ukutymi zostały przeciw wszelkim przeniiewierstwom i nadużyciom, nie tylko wzorowy nastął porządek w ściąganiu ceł i podatków, ale nadto sam prezydent przeglądał księgi, rewidował kasy, dając jednocześnie najpiękniejsze przykłady skromności i wyrzeczenia. Przez lat dwanaście mieszkał w najętej gospodzie, wiódł życie prostego obywatela, żadnego sobie nie pozwalając zbytku ani wystawności. Ale też te jego przykłady i usiłowania nie pozostały bezskuteczne. Najprzód porządkiem i uczciwością, oraz zaradnymi środkami i przedsiębiorstwami tak dalece dźwignął gospodarkę finansową kraju, iż olbrzymich dokonał rzeczy, nie zwiększając wcale podatków, owszem zniżając je wielokrotnie. I dług państwowy nie tylko że nie urósł, owszem udało się prezydentowi spłacić dziewiętnaście milionów, nie zaciągając nowych pożyczek. Handel zaś tak pomyślnie się pod jego rządami rozwinął, iż z roku na rok ogromny zaznaczano postęp w dziedzinie ruchu wywozowego. I tak, gdy w r. 1869 wywóz produktów krajowych wynosił nieco więcej niż czternaście milionów, w 1873 dorósł bez mała dwudziestu czterech milionów franków. Moreno głównie popierał rozwój rolnictwa, i od razu zajął się budową dróg i mostów, aby ułatwić dowóz produktów krajowych do portów nadmorskich. Inżynierów i architektów sprowadzał z Europy i Ameryki Północnej. Pod kierunkiem Braci Szkolnych otworzył wielką szkołę rzemieślniczą dla wykształcenia sobie pracowitego pokolenia rękodzielników i zarazem podźwignięcia kraju z nędzy ostatejnej.

Nareszcie przyłożył rękę do najważniejszej sprawy, wyswobadzając Kościół z dotychczasowego ucisku. Zwycięska sekta nie tylko w istnych pętach

trzymała Kościół, ale podmuchem swym zarażała duchowieństwo świeckie i zakonne. Zepsucie wkrađało się aż do przybytków Bożych, biskupi mieli ręce związane, rząd zawsze stawał przeciw nim w obronie złych księży i zbuntowanych mnichów. Stosunki te żywo przypominały to co się obecnie w niejednym europejskim dzieje kraju. Garcia Moreno postanowił zawrzeć konkordat z Stolicą Apostolską, i w tym celu wysłał osobnego pełnomocnika, tak dalece ufając ojcowskiej roztropności Piusa IX, iż złożył u stóp jego blankiety własnym opatrzone podpisem, z prośbą aby Papież sam wypisać raczył swe życzenia i warunki ugody. Konkordat niebawem zawartym został, a Pius IX nieraz stawiał go za wzór najdoskonalszy podobnej umowy. Zostawił zaś wyjątkowe prawa i przywileje pobożnemu prezydentowi, równym mu się wyplacając zaufaniem. Wolność Kościoła, poparcie onego przez rząd miejscowy, udotowanie czterech nowych stolic biskupich, rozmnożenie parafij, uregulowanie dziesięcin, oto jakie były główne konkordatu artykuły.

Jednocześnie wraz z arcybiskupem z Quito zabierał się do trudnego dzieła zreformowania rozprzężonego duchowieństwa. Synod diecezjalny, zwołany w r. 1863 rozpoczął dzieło odrodzenia. Prezydent osobiście wnikał w wnętrze klasztorów, niezgodnie z swą regułą żyjących zakonników zastępował przybywającymi z Europy na głos jego Dominikanami, Franciszkanami, Jezuitami, Braćmi Szkolnymi. Ostatnim powierzał zarząd szkół elementarnych, Jezuitom oddawał wyższe zakłady naukowe, wszędzie czuwał nad wykształceniem i zdrowym kierunkiem uczącej się młodzieży. Reformował zarazem i sądy, usuwał przekupstwo i przedajność, słowem wszędzie bystrym wglądał okiem i mądrym zarządzał sercem. Jednocześnie stłumił w jednym roku aż dziesięć ruchów rewolucyjnych w dziewięciu różnych punktach Rzeczypospolitej. Wystarczał okrzyk, że Moreno jedzie, aby siać postrach wśród buntowników. Nadzwyczajne czyny waleczności osobistej utrwały urok jego imienia, a wymowa pełna zapалу ogrzewała serca ludu. Warto tu przytoczyć ustęp z jednej ze wspaniałych odezw, którą miał w Izbach prawodawczych na początku swych rządów, najlepiej bowiem ona maluje wewnętrzny nastrój tej podniosłej duszy i charakteru jego rządów: "Skoro mamy szczęście nazywać się Katolikami, przynależy, abyśmy się takowymi być okazywali, zarówno w życiu naszym prywatnym, jak i społecznym. Zatwierdźmy szczerą naszą i uczuć publicznymi czynów świadectwami, wyrzucmy z serca do ostatniego szczątka jakie bądź względem Kościoła nieprzyjaźni... W każdym czasie takim powinno być postępowanie katolickiego narodu: atoli dziś, gdy wre sroga i powszechna wojna przeciw

naszej najświętszej religii; gdy bluźnierstwa dochodzą aż do zaprzeczenia Bóstwa Chrystusowi Panu; gdy wszyscy się łączą, wiążą i zbroją przeciw Bogu i Zbawicielowi naszemu, i z łona społeczności ludzkiej wypada potok nienawiści przeciw Kościołowi i chrześcijaństwu... tym bardziej zobowiązani jesteśmy do mężnego i rycerskiego zachowania się: albowiem w dniu bitwy stanowczej, ociężałość i lenistwo równają się zdradzie i tchórzostwu. Szczęśliwi będziemy, jeśli w nagrodę otrzymamy Niebo, i błogosławieństwo z niego spływające na naszą ukochaną ojczyznę. Szczęśliwym będę ja sam, jeśli z tej przyczyny ściągnę na siebie niechęć, obelgi i szkalowania wrogów Kościoła i Boga".

Czterolecie swej prezydentury zamknął Garcia Moreno tak walnym zwycięstwem, tak rycerskimi czynami, iż trudno było wspanialej uwieńczyć pamiętny okres pierwszych a błogich rządów jego. Dawny dyktator, filar sekty, krwawy Urbina zebrał bandę rozbójników, uzbroił kilka statków i zaczął oblegać Guayaquil, zagrażając ponownie całemu krajowi. Na tę wieść prezydent dosiadł konia, szybko przebył daleką z Quito drogę, wdarł się do obsadzonego portu, ożywił słabnące oblężonych nadzieje, a co więcej, z jednym kupieckim okrętem zwalczył flotyllę korsarzy, i ocalił kraj cały od nowej pozozi i zamieszania. Wróciwszy z tak pomyślnie zakończonej wyprawy, złożył dzierżoną władzę w ręce posłów i reprezentacji krajowej, a choć go ogólnie powoływano do ponownego objęcia rządów, wolał wskazać wyborcom następcę po swej myśli, Don Hieronima Carrion. Sam zaś cofnął się w życie prywatne, a załatwiwszy krótką dyplomatyczną misję w Chile, ponownie stanął na katedrze chemii w uniwersytecie stolicy. I znów do godności rektora niebawem wyniesiony, tak skromne wśród grona uczonych zajął stanowisko, jak gdyby nie był nigdy nawą ojczystą kierował.

Ale ani Carrion, ani następca jego Espinosa, nie mogli sobie dać rady z podnoszącymi wnet głowę rewolucjonistami, których jeden tylko Moreno umiał w należytych utrzymać korbach. Wiele z dzieł rozpoczętych przez wielkiego prezydenta chromiało i nawet upadało w nieudolnych rękach jego następców. Straszne trzęsienie ziemi r. 1868 dopełniło miary kłopotów rządu i nowych nieszczęść krajowych. Do 20.000 ludzi legło pod gruzami zwałonych domów. Jęki rannych i dogorywających napępniały powietrze. Znikł porządek społeczny, bandy rabusiów obiegały pola zniszczenia, obdzierając trupów i konających, mnóstwo dzieci i dorosłych z głodu i nędzy umierało, lub popadało w szal obłąkania; korzystając z powszechnej niedoli Indianie, porwali się do oręża, aby wyrząść znienawidzone plemię hiszpańskie.

Powołano Morena na ratunek tylu ciosami skołatanej ojczyzny. Nie szcędząc sił, ni czasu, obiegał on konno dotknięte klęską miejscowości. Ratował i pocieszał jednych, karał i uśmierzał drugich, surowość jak zwykle posuwając aż do ostatnich granic sprawiedliwości. Ale też udało mu się bunt Indian poskromić, nawiedzone wsie i miasta zaopatrzyć w żywność i pomoc konieczną; dla sierot znalazł opiekę i przytułek, wszystkim zaś dodał otuchy i serca. Wdzięczność ogólna po amerykańsku objawiła się mnogimi pomnikami i posągami, stawianymi na cześć dobroczyńcy i wybawiciela w najuboższych nawet wioskach. Zwątlały rząd Espinozy zastąpiono regencją trzech triumwirów, wśród których Moreno przewodnie zajął stanowisko. W styczniu zaś 1869 r. obrano go ponownie prezydentem na lat sześć, zaczem rozpoczął się najświetniejszy i najobfitszy w błogie owoce okres jego rządów.

Stawając ponownie na czele swego kraju, Garcia Moreno uznał potrzebę przejrzenia dotychczasowych ustaw, które nie wystarczały, aby rozpoczęte utrzymać dzieło, i wymagały nowego wzmocnienia. Przedłożył tedy kongresowi projekt konstytucji ugruntowanej na najściślejszych katolickich podstawach. Przez to samo, tak wolność narodu, jak i swoboda Kościoła dostatecznie obwarowaną być miała. Kraj cały przyjął jednomyślnie nową ustawę, ku większej wściekłości czerwonych liberałów i wolnomularzy, którzy z chrześcijańskiego na wskroś rządu i ustroju państwowego stanowczo wykluczeni zostali. Sprawiedliwość chrześcijańska, ona sprawiedliwość, która, wedle słów Mędrca Pańskiego, wywyższa narody, była podwaliną nowej konstytucji. Na szarfię prezydenta Rzeczypospolitej błyszczał złotym haftem napis: *Mi poder en la constitution*, siłą moją prawo, – a uszanowanie onych mądrych praw stało się w dwójnasób hasłem tego pięknego życia. A pod godłem prawdy i prawa, takich w owym sześcioleciu dokonał cudów, iż prawie niepodobna w krótkiej treści ich opowieści.



I znów troskliwość swą najprzód głównie ku młodzieży zwrócił. Zanim Garcia Moreno zasiadł był na krześle prezydenta, Ekwador nie posiadał prawie szkółek ludowych. W roku jego śmierci, do 32.000 dzieci odbierało pierwsze nauki w wybornie urządzonych salach, od Braci i Sióstr Szkolnych, lub świeckich nauczycieli. Do końca dni swoich, coraz to nowe budował szkółki, i jeszcze w dwóch ostatnich latach życia swego wystawił ich 94. Prócz tego, w głównych miastach kraju wznosił większe zakłady naukowe, sam je często nawiedzał, przewodniczył egzaminom, zachęcał uczniów. Do czterech wyższych gimnazjów zaprosił na nauczycieli hiszpańskich Jezuitów. W Quito założył Politechnikę z wspaniałymi zbiorami, gabinetami i laboratoriami, której zarząd oddał podobnież sprowadzonym z Niemiec członkom Towarzystwa Jezusowego. Zbudował wspaniałe obserwatorium astronomiczne, i zaopatrzył takowe najbogatszymi przyrządami, które wielkim kosztem nabył w Monachium. Dla fakultetu medycyny sprowadził z Francji uczonych profesorów. Założył konserwatorium muzyczne, szkołę sztuk pięknych, wysyłającą zdolniejszych uczniów do Włoch. Nie zaniedbał wychowania dziewcząt, wezwał zgromadzenie Najświętszego Serca Jezusa i Maryi do otworzenia pensjonatów; sieroty powierzył Siostrze Miłosierdzia. Żadnej nie opuszczał okazji przysporzenia swej ojczyźnie religijnych i naukowych pomocy. I tak gdy r. 1874 pruski *Kulturkampf* silnie oddziaływał na wewnętrzne stosunki Austrii, i zanosilo się, w pierwszym miejscu, na wydalenie tutejszych Jezuitów, Garcia Moreno z własnego popędu napisał do prowincjała polskich Jezuitów, O. Kautnego, ofiarując się na wypadek wydalenia Ojców z Galicji, przyjąc ich wszystkich z klerykami i braćmi do Ekwadoru i wszystkie koszta podróży opłacić, z tym jednym warunkiem, żeby przynajmniej pięć lat w Ekwadorze pozostali.

Nie zapominał szlachetny mąż i o biednych indiańskich plemionach: i dla nich obmyślał szkółki, schroniska, przytułki. Zrozumiał on dobrze, iż nie orężem lecz krzyżem i chrześcijańską miłością ostatecznie podbić i pozyskać ich należy. I oto nie szczędzi ofiar, aby licznych misjonarzy w głąb kraju wysyłać. Żarliwość chrześcijańska szła w parze u niego z cywilizacyjnym posłannictwem. Aby ustalić owoce chrześcijańskiej oświaty, Garcia Moreno nadał misjonarzom nieograniczone przywileje, a wiedząc, iż życie społeczne jest niemożliwym bez władzy, naznaczył owych misjonarzy na przedstawicieli rządu, oddając ich pieczy i rozkazom nowe zdobycze ewangeliczne. Zaczem ubodzy zakonnicy stawali się gubernatorami okolic przez nich nawracanych, z nieograniczoną swobodą i prawem karania winnych, lub dobierania urzędników z pośród

samychże Indian. Niebawem skutki uwieńczyły cywilizacyjne Morena zabiegi. Najdziksi Indianie poddawali się ochotnie dobroczynnym wpływom chrześcijaństwa, koczowniczego odbiegali życia, osiedlali się w wioskach, gdzie wnet powstawały kościoły i szkoły. W jednym tylko okręgu, przeszło dwa tysiące dzieci indiańskich nauczyło się biegle czytać po hiszpańsku, pisać, rachować i mówić. Garcia Moreno uznawał i cywilizacyjny wpływ muzyki, i w niej polecał kształcić i ćwiczyć biednych dzikich Indian. Corocznie tysiące Indian świeżo ochrzczonych powiększały gminę chrześcijańską, mnożyły szeregi pożytecznych Rzeczypospolitej obywateli. Dla poskromienia chciwości białych i płynących stąd nadużyć, Prezydent położył tamę zamianom w naturze, które zastępowały handel wolny, z krzywdą naiwnych i wyzyskiwanych tubylców. Słowem misje w Ekwadorze jawnie udowodniały jak wielkie i błogie mogą przynosić skutki, gdy rząd nie zagradza ich rozwoju, owszem swej pomocy i poparcia udziela. Garcia Moreno corocznie urzędowo przekładał kongresowi Stanów Rzeczypospolitej świetne owoce misji, a sprawa Indian tak go żywo obchodziła, iż nosił się z myślą założenia nowego wikariatu apostolskiego, i projekt tego, już opracowany miał przy sobie w dniu śmierci: zaczem projekt ten krwią jego serca zboczonym i okupionym został.

Nie samym jednak tylko poganom pragnął zanieść światło wiary. O rozniecenie jej w zastygłych chrześcijańskich sercach jeszcze mu więcej chodziło. Lud słowem Bożym rozgrzany cisnął się do kościołów po wsiach i miastach. Odbływały się wciąż z wielkim owocem misje przez Jezuitów, Lazarystów lub Redemptorystów prowadzone. Bywały i osobne misje dla wojska, a w szkole kadetów nauka religii właściwie, poczesne zajęła miejsce i godziny. Zmieniła się postać rzeczy, uczęszczano do Sakramentów świętych, przez te wszystkie lata zaledwie dwa wydarzyły się przykłady śmierci bezwyznaniowej, nie ukrzepionej pociechami religii.



Don Gabriel z mądrością chrześcijańskiego polityka dobrze rozumiał, iż ziemską władza się nie ostoja tam, gdzie nie uznana jest władza Boga i Kościoła, że jeden bunt wnet drugi za sobą pociąga. Broniąc sprawy Kościoła w własnej ojczyźnie, chciał jej bronić i w Rzymie. Z Piusem IX zostawał w częstych i ścisłych piśmiennych stosunkach: te dwie podniosłe dusze rozumiały się dobrze, gdy w r. 1870 Sobór Watykański orzekł nieomylność Papieża, Garcia Moreno rozkazał urzędowo i uroczyście obchodzić ogłoszenie nowego dogmatu. Kiedy następnie Włochy zagrabiły Rzym, Rzeczypospolita Ekwadoru jedynym była państwem na świecie, które protestowało przeciw dokonaniemu gwałtowi. Europejska dyplomacja uśmiechnęła się na ten pojedynczy protest. Natomiast setki dzienników katolickich w Europie, a wszystkie korporacje, stowarzyszenia i gminy w Ekwadorze oświadczyły swą łączność z głosem oburzenia szlachetnego prezydenta. Nie mały to kraj, odzywał się legat papieski, który zdolen na podobne podnieść się wyżyny. Z inicjatywy Morena, cały kraj postanowił niebawem składać na drodze urzędowej obfite świętopietrze w stałych, miesięcznych daninach.

W swej prostej a żywej wierze, Garcia Moreno pragnął jeszcze zrobić jeden krok więcej na drodze katolickiego odrodzenia. W duchu Piusa IX działając, umyślił ojczyznę swą poświęcić Najświętszemu Sercu Zbawiciela. A gdy biskupi zgodzili się na to jego życzenie, postanowił i temu świętu nadać cechy urzędowe. Wniósł tedy na kongres Stanów projekt, aby tego poświęcenia dokonał sam prezydent i przedstawiciele głównych ciał Rzeczypospolitej, w imieniu całego narodu. Przez całe osiem dni trwały misje, co dzień inna warstwa społeczna spieszyła przysięgać Najśłodszemu Sercu Zbawiciela dozgonną cześć, miłość i wierność. Pierwszego dnia w katedrze stolicy dziatwa owe rzewne składała śluby, drugiego dnia przyszła kolej na rzemieślników... i tak dalej, aż do ostatniego dnia, w którym sam prezydent na czele armii, donośnym głosem w imieniu narodu, klęcząc u stopni ołtarza, zaprzysiął Sercu Jezusowemu całego kraju poddaństwo. Piękna ta uroczystość, zakończona w dniu 25 marca 1874 r., wszystkich obecnych do żywego poruszyła; a starzy wodzowie i posiwiali w służbie wojennej żołnierze, nie ukrywali łez głębokiego rozrzewnienia. Od tego dnia Ekwador nazywa się z chlubą: *La republica del Sagrado Corazon*.



Wszędzie sięgało czujne oko i czynna dłoń Prezydenta; jak doświadczony lekarz, umiał dokładnie oceniać każde tętno dobrego czy złego, odkrywać rdzeń choroby, kłaść rękę na najdrażliwszą ranę. Ameryka podobnie jak Europa cierpi na nadmiar adwokatów. Oni i tam w parlamentach kują antykościelne ustawy, i tam powtarzają rzucone przez adwokata z Cahors hasło, iż klerykalizm głównym wrogiem państwa. W Rzeczypospolitej Ekwadoru zawód prawniczy najliczniejszych ściągał kandydatów, z powodu łatwości egzaminów, i szybkości ewentualnej kariery. Że jednak szczupła tylko ich liczba zdołała się wcisnąć na rządowe posady, większa część skończonych jurystów utrzymywała się z procesów z ręcznie przeciąganych i wikłanych, a jednocześnie wśród nich powstawał najznaczniejszy kontyngens spiskowców i apostołów idei przewrotnych. Ferment rewolucyjnych zakusów, przeważnie tam w kołach

adwokackich dojrzewał. Dwojaka więc stąd szkoda dla kraju płynęła: raz sztucznym podniesieniem niezgód prywatnych, z których żyli pozbawieni publicznych posad prawnicy, a po wtóre zaklętym kołem politycznych deklamacyj, spaczonych ambicij, niedowarzonych pojęć, w którym się obracali ci niebezpieczni agitatorzy społeczni. Utrudnieniem zbyt łatwych dotąd egzaminów, zaostrzeniem praw, zreformowaniem sądów, i na tej drodze doszedł Moreno do skutecznej naprawy niemoralnych i nienormalnych stosunków. Jak zwykle i w tym kierunku umiał przykładową, a nawet bezwzględnie rozwiniętą surowość. Mąż ten litościwy i miłosierny wiedział i rozumiał, że tylko sprawiedliwym wymierzaniem kary, można rozbudzić sumienie w upadłym społeczeństwie. Niejeden wyrok śmierci przeciw sprawcom buntu lub nieporządku własnoręcznie podpisał, i nie dał się przebłagać żadną prośbą ni groźbą. Ale zarazem bywało iż skazując małżonka lub syna na wygnanie, z własnej kieszeni pensjonował tymczasem rodzinę banity.

Jednym z pierwszych jego zachodów było wybudowanie gmachu więziennego, uchodzącego po dziś dzień za doskonały wzór praktycznych i zdrowych urządzeń, w miejsce dawnych zabójczych lochów i kaźni. Dla małoletnich przestępców otwierał prawdziwe domy poprawy pod kierunkiem zakonnych zgromadzeń; upadłe kobiety powierzał miłosiernym wpływom sióstr Dobrego Pasterza. Wszystkie te jego usiłowania, błogosławieństwem Bożym widocznie poparte, jawnymi były uwieńczone skutkami. Niegdyś w Ekwadorze nie można było się ruszyć z domu inaczej jak zbrojnie, teraz i w lasach odległych podróży czuł się bezpiecznym. Ustały rozboje i kradzieże, a niełatwa była to odmiana, zważywszy, iż lud w tych strefach gorących nad wszelki wyraz bywa leniwy, próżniaczy, brudny i złodziejski. Obejmując rządy, Don Gabriel znalazł się na czele iście żebraczego narodu; na tysiąc obywateli, za ledwie jeden posiadał dostateczne utrzymanie. Głęboki badacz i znawca kwestii socjalnej, Moreno genialnie obmyślił środki dwustronnego ratunku. Tysiące rąk zajmował codziennie przez cały czas swego urzędowania, tysiącom robotników dawał chleb i pracę, przy mądrze wybranych przedsiębiorstwach, które ratując ubogich robotników od próżniactwa i głodu, i zarazem bogactwo kraju dźwigały. Powstawały więc bite gościńce, drogi żelazne, wiadukty, niebywałe środki komunikacji; rozszerzały się dawne porty, otwierały nowe, latarnie morskie rozświecały drogę opływających wybrzeża żeglarzy; w Quito pod nazwą *El Protectorado* Bracia Szkolni zakładali wyborną szkołę handlową. Rolnictwo coraz się bardziej rozwijało wśród coraz też pomyślniejszych warunków odstawy, a niezrównana stref tych urodzajność teraz dopiero w całej pełni się

ujawniała. Wszędzie osobistym świecąc przykładem, Don Gabriel przodował i wśród gospodarzy ekwadorskich jako pierwszorzędnny *haciendato*, założyciel wzorowej *ferme modèle*, gdzie obok innych gałęzi postępowego gospodarstwa, znajdowała się i przędzalnia i farbiarnia wełny.

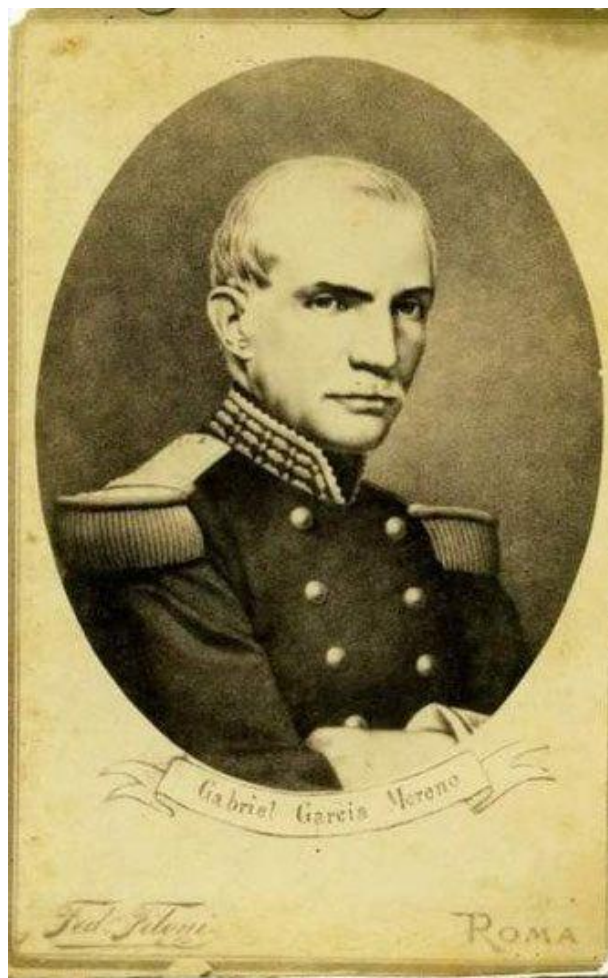
Cierpiąca ludzkość wyjątkową w tym szlachetnym sercu budziła troskliwość: wszędzie zakładał on piękne, dogodne szpitale pod kierownictwem Sióstr Miłosierdzia. Sam w nich nieraz służył chorym, wypytywał o ich potrzeby, kosztował z ich kuchni; zwłaszcza w samej stolicy, gdzie przekonawszy się o niepocziwości świeckiego zarządcy miejskiego szpitala, oddalił go i sam stanął na czele miłosiernej instytucji. Upiększenie miast ekwadorskich także miał na oku, bo w tej duszy harmonijnej, piękno obok prawdy stale pobrzmiewało. Wznosiły się tedy wspaniałe gmachy, ulice zostały wybrukowane, parki i aleje powstały wśród placów niegdyś brudem i gruzami zaległych. Niełatwym było to zadanie. Nowo założone ogrody każdej nocy doraźnemu ulegały zniszczeniu. Motłoch uliczny wrywał posadzone kwiaty, łamał drzewka, niszczył krzewy. Niemałej potrzeba było wytrwałości, by opornych i swawolnych zwalczyć. Przez długie lata straże wojskowe rozstawione wśród nowych plantacyj czuwać musiały nad ich bezpieczeństwem, a cofnięto je wtedy dopiero, gdy drzewa już były dość grube i silne, aby się same obronić przed napaścią niszczycieli.

Reforma wojskowa musiała oczywiście zwrócić też na siebie uwagę tak bystrego męża stanu. Dotąd armia Ekwadoru była raczej hałastrą z awanturników kosmopolitycznych złożoną: zbieraniną murzynów i Indian, wyrzutek społecznych z Francji, Hiszpanii i Niemiec; a to wszystko bose, nie odziane, nie opłacone, utrzymujące się rabunkiem, zaprzędające się więcej dającymemu. Garcia Moreno rozpuścił te niesforne żywioły, zaciągnął nowych żołnierzy, ubrał ich w porządne, na wzór francuskich mundury; dobrał tęgich i wykształconych oficerów, założył wzorową szkołę kadetów, a sam nie tylko surowym i mężnym hetmanem, ale też ojcem dla żołnierzy być umiał.

Już raz wspomnieliśmy o jego genialnej finansowej gospodarce. Umiał podwoić dochody państwowe, bynajmniej nie obciążając swego ludu. Osobista jego uczciwość i bezinteresowność niemało się przyczyniła do tak pomyślnych rezultatów. Poprzednicy jego na najwyższym urzędzie do tego stopnia posuwali chciwość i żądzę łupu, iż obdzierali gmachy publiczne z posągów, filarów i schodów, aby własne nimi upiększać pałace. Moreno zostawił kasę państwa napelnioną, a własną kieszeń pustą. Gdy mu przyjaciele robili

wyrzuty, iż o przyszłości dzieci swoich nie myśli, zwykł był odpowiadać: "Nie zostałem prezydentem aby się wzbogacić, ale aby ojczyźnie mej służyć".

W tym pobieżnym wyliczeniu dzieł i przedsięwzięciach wielkiego męża stanu, znaleźć każdy może głęboką naukę: życie jego i czyny dowodzą jawnie, czym stać się może dobra wola ludzka, gdy się oprze o Boga i dla nieba ziemskich dopełnia obowiązków. Urzeczywistniała się bowiem jawnie dla prezydenta Ekwadoru obietnica Pańska, iż temu co szuka sprawiedliwości i królestwa Bożego, reszta przydaną zostanie. Zbadawszy jego publiczne życie i pracę, przypatrzmy się teraz bliżej jego postaci, charakterowi, prywatnym stosunkom i uczuciom.



Don Gabriel górował nad swym otoczeniem wysoką, rosłą postawą, muskularną siłą zaprawionych do wszelkiego trudu nerwów. Kształtna i szlachetna głowa osłonięta była przedwcześnie od troski posiwiałym włosem. Rysy twarzy nieco zaostrzone, łagodził wyraz błękitnych, pełnych ognia źrenic. Czoło szerokie, głos dźwięczny, ruchy pełne godności, wszystko od razu zdradzało niezwykłego człowieka, podnoszącą się nad zwykłą miarę duszę.

Charakter jego żywy, a nawet gwałtowny, miarkowała cierpliwa wytrwałość, a serce gotowe zawsze było na wszelkie ofiary i zapłaty dla Piękna i Prawdy. Znaćca ludzi, umiał ich jednym spojrzeniem na wylot przenikać, i nigdy omylić ani oszukać się nie dawał. W stosunkach z ludźmi pełen był dobrotliwości i pociągającego uroku. Dla maluczkich i biednych okazywał współczucie i serdeczność, wobec przyjaciół bywał czuły i ożywiony, w urzędowych sprawach i kołach małomówny i stanowczy. Szeroka jego kultura, rozum i wykształcenie, najmilszym go czyniły towarzyszem. Obok hiszpańskiego języka, posiadał dokładnie francuski i angielski. Z każdym umiał fachowo i świetnie się rozmówić. Nietrudno przychodziło skłonić przed nim głowę, nagiąć się do uległości. Jednym błyskawicznym spojrzeniem zniewalał do posłuszeństwa, a zarazem jednał sobie serca. Mąż ten ze wszech miar nie pospolity, uwieńczył swe przymioty pokorą. Nigdy o sobie, o swych zasługach nie mówił, nie dał mówić. Skuteczność swych zabiegów przypisywał błogosławieństwu Piusa IX, modlitwom ubogich, przyczynie swej niewidomej siostry. Pewnego razu profesor botaniki przyszedł do niego z prośbą, aby mu pozwolił nowo odkrytą wspaniałą Pasyflorę ochrzcić mianem *Taxonii Garcyi Moreno*. Don Gabriel ofuknął się na to: "Zostawcież moją nędzną osobistość w pokoju, jeśli zaś mi chcecie zrobić przyjemność, a kwiat ten prawdziwie jest rzadki i piękny, to go nazwijcie: *Taxonia Mariae*". Tak też się stało wedle pobożnego życzenia pokornego czciciela Maryi.

Pokora ta uwydatniała się i w rozmowie z uczonymi i fachowymi ludźmi. Zasięgał ich rady, sam własne usuwał zdanie, mawiając: "Lepiej się ode mnie znacie na rzeczy, mogłem się omylić". Pewnego kapłana, który ostro jego rządy krytykował, z czego nawet nieprzychylnie mu gazety hiszpańskie korzystały, zaszczycił listem obszernym i serdecznym, w którym mu oświadczał, iż sam najlepiej czuje swe niedostatki i słuszność poczynionych mu zarzutów. Uszanowanie dla charakteru kapłańskiego posuwał do najwyższych granic. Gdy raz, zaprzątzonego znacznymi zmianami planów budowniczych, pewien ksiądz własnym próbował zająć interesem, Don Gabriel niecierpliwie się odezwał, iż ma przed sobą ważniejsze sprawy, aby się takimi drobnostkami zaprzętać. Ksiądz wyszedł nieco zafrasowany. Aż oto nazajutrz ujrzał wchodzącego do swego mieszkania prezydenta, który na klęczkach jał zdumionego kapłana przeproszać za wczorajsze uchybienie.

W codziennym życiu, Moreno zachowywał prostotę i umiarkowanie, graniczące z ubóstwem. W domu jego ład był wielki, ale dopatrzeć się zbytku nikt nie potrafił. Sam Moreno prawie nigdy wina nie pijał, nie wydawał

obiadów, nie przyjmował zaproszeń; sypiał na gołej ziemi, co najwięcej na rozciągniętym kocu; w czasach wojny lub objazdów kraju zaledwie dwugodzinnego zażywał spoczynku. W takich razach kilka haustów czarnej kawy, sucharek z czekoladą wystarczały mu za całe pożywienie. Gardził wygodą, lękał się wszystkiego co by mu hartu przyrodzonego i zdobytego ująć mogło. Pracował iście za dziesięciu, sam olbrzymią z całym światem prowadząc korespondencję, wypracowując sprawozdania dla kongresu i senatu, kontrolując rachunki, przeglądając wszelkie projekty i plany. Silny to był nad wyraz i wytrzymały organizm; a jeśli dla drugich nieraz okazywał się wymagającym, od siebie jeszcze stokroć więcej żądał. Wśród ustawicznej pracy, jeśli niekiedy uczuł potrzebę wytchnienia, dosiadał konia, pędził lotem strzały, aby świeżego zaczerpnąć powietrza, i jeszcze w tej przejażdżce doglądał robót publicznych, śledził postępy w budowie dróg i mostów, lub niespodzianie zjawiając się wśród podwładnych, dochodził azali każdy pilnie swego obowiązku przestrzega.

Jak pomiędzy tylu przeróżnymi zajęciami wystarczył siłami i czasem? – zagadką to dla ludzi małej wiary; pobożnym zaś nie jest tajnym, iż Bóg nie tylko środki ale i czas rozmnażać zwykł cudownie w ręku sług swych wiernych. Garcia Moreno wprowadził też w życie maksymę wielkich ludzi i wielkich świętych, stawiając sobie za zasadę i powinność, aby nikogo nigdy nie odpychać. Każdy tedy, ubogi czy bogaty, maluczki czy wielki mógł się do niego docisnąć, przedłożyć swą sprawę, zanieść prośbę, każdego przyjął łaskawie, cierpliwie wysłuchał, pomoc obiecał; a jak umiał dźwigać, krzepić, pocieszać, wiedzą nieszczęśliwi, którzy się do jego progów cisnęli.

Mąż takich cnót publicznych i prywatnych, nie mniejsze posiadał przymioty w domowym, rodzinnym życiu. Dość późno, i w wyjątkowych okolicznościach zawarł on dozgonne śluby. Było to w r. 1860; Don Gabriel liczył już wtedy czwarty krzyżyk, gdy poznawszy młodą panienkę w Quito, postanowił o jej rękę prosić. Zadanie to rozbiło się o uprzedzenia rodziców, którzy nie chcieli o tym związku słyszeć. Zwątpiwszy o pozyskaniu zezwolenia rodziców, a przekonawszy się, że lękliwy pleban bez tego warunku nie dopełni ślubnego obrzędu, zakochana para inaczej sobie poradziła. Pod pozorem oglądania katedry i jej skarbcza, liczne towarzystwo udało się do kościoła, z prośbą, aby proboszcz zechciał sam oprowadzić gości. Nie domyślający się niczego kapłan, zajął się rozkładaniem kosztownych aparatów w zakrystii – gdy wtem wystąpił naprzód Garcia Moreno, a chwytając za rękę wybraną swego serca wyrzekł: "Zaślubiam cię wobec przytomnych tu świadków". Oblubienica

te same powtórzyła słowa, zanim kapłan ochłonąć zdołał z pierwszego zdziwienia. Powiadomieni o tej sprawie rodzice panny młodej nie sprzeciwiali się już dokonanemu faktowi, przy bliższym poznaniu cnót energicznego zięcia, dawne uprzedzenia stracili. Małżonka prezydenta zapewniła mu kilkanaście lat prawdziwego szczęścia, dodawała mu serca w cięższych życia chwilach, czułą otaczała go troskliwością. Z kolei dwoje powiła mu dzieci, córeczkę, której śmierć przedwczesną ojciec krwawymi oblał łzami, i syna, który był pociechą, osłodą i chlubą jego lat ostatnich. Ale i ta miłość nie wzięła w nim góry nad miłością i obowiązkami dla kraju, z wyjątkiem domu i maleńkiego ogródka, nic zgoła synowi i małżonce nie zostawił.

Znaleźli się oszczercy, którzy odważyli się twierdzić, iż Garcia Moreno w religii upatrywał tylko środek polityczny, w Kościele narzędzie władzy i porządku, wbrew osobistym praktykom i przekonaniom. Wszystko cośmy dotąd o nim powiedzieli, aż nadto zbija owe mętne oskarżenia. Warto jednak przytoczyć jeszcze kilka dowodów i rysów jego serdecznej i szczerzej pobożności. Mąż ten tyloma doniosłymi sprawami obarczony, codziennie słuchał Mszy św., co dzień też odmawiał różaniec, gdziekolwiek się znalazł, w domu, obozie czy podróży. Nieraz gdy w lesie dziewiczym na noc przyszło mu do szałasów indiańskiego się schronić, przed udaniem się na spoczynek klękał na gołej ziemi i wspólnie z adiutantami głośno odmawiał różaniec, do którego przyłączali się i biedni u progu pozostali Indianie. Niekiedy po dłuższej nocy i nocą wycieczce, gdy nad ranem do stolicy wracał, odsyłał adiutantów z końmi do pałacu, a sam wstępował do katedry, aby wysłuchać Mszy św. Postów pilnie przestrzegał, nawet w chorobie wymawiając się od dyspensy. Jeśli dawniej raz w miesiąc do Sakramentów świętych przystępował, to pod koniec życia co niedziela i święto łączył się z swym Zbawicielem w tajemnicach Ołtarza. W procesjach i obchodach religijnych nie tylko sam uczestniczył, ale i ministrów, oficerów i urzędników zapraszał do towarzyszenia mu w publicznym oddawaniu czci Bogu, a w dniu Wielkopiątkowym wzywał wszystkich członków rządu do wspólnej adoracji Krzyża i pobożnego całowania ran Ukrzyżowanego. Że to wszystko wprost z serca płynęło, dowodem wrażenie, jakie sprawiał widok modlącego się prezydenta. Budował on i rozgrzewał patrzących, skupieniem i żarliwością swoją. Pewien Niemiec, profesor politechniki, który dłuższy czas w Quito bawił, tak swe stosunki z prezydentem Rzeczypospolitej opisuje: "Miewałem częstą sposobność widywania go wtedy, a zawsze odchodziłem zbudowany. Kilkakrotnie na jego życzenie odwiedzałem go na wsi, gdzie wśród rodziny

swej krótkie przepędzał chwile. Z rana Don Garcia Moreno sam udawał się do zakrystii, przyspasabiał kapłańskie szaty i przybory, ubierał księdza i niosąc mszał, klękał na stopniach ołtarza, aby jak studentik do Mszy służyć, wobec czeladki i mieszkańców wioski. Wystawcie sobie tę wyniosłą marsową postawę, siwe włosy, piękne oblicze, żelazną tchnące wolą, a zmierzycie wrażenie, jakie ten widok na obecnych sprawiał. Promieniał on wiarą, pobożnością i bojaźnią Bożą, gdy klękał aby się modlić. Należało go widzieć i słyszeć, gdy co niedziela wykładał katechizm swej czeladce, towarzyszył małżonce i małemu synkowi na nabożeństwo, z odkrytą głową uczestniczył wspólnie z urzędnikami państwa w procesjach, lub postępował za niesionym do chorego wiatykiem, – aby sobie zdać jawnie sprawę, iż korzeń jego potęgi i geniuszu tkwił w gorącej jego wierze i pobożności".



Piekło i ludzie z piekłem sprzysiężeni dłużej na tak wielką cnotę patrzeć nie chcieli. Wyszędłszy obronną ręką z tych przeróżnych niebezpieczeństw, na lądzie i morzu, z ręki obcych czy swoich, Garcia Moreno nie znał bojaźni śmierci. Dwadzieścia z kolei zamachów na jego życie chybiło; oswoił się więc z myślą, że mu się nic stać nie może; a gdy go naglono o zachowanie pewnych środków ostrożności, odpowiadał stale: "Jestem w ręku Boga", dodając nieraz: "Nie ośmielę się już na mnie targnąć". W głębi serca jednak szczerze pragnął krwią własną przypieczętować swe poświęcenie dla Kościoła i ojczyzny.

Drugi okres jego prezydentury kończył się w roku 1875. Garcia Moreno pragnął wycofać się z życia publicznego. Zewsząd wrzały intrygi aby nie dopuścić ponownego wyboru. Mimo nacisku przeciwników, olbrzymią większością przeszedł Don Gabriel, a uproszony przez przyjaciół i delegata papieskiego, nie zszedł z posterunku lecz ponownie przyjął ofiarowane sobie zaufaniem ludu przewodnie stanowisko. Zasiadłszy na krześle prezydentowym, wystosował natychmiast list do Piusa IX, w którym między innymi tak się wyrażał:

"Ojcze Święty, uciekam się pod apostolskie Waszej Świątobliwości błogosławieństwo, gdy wybór narodu ponownie na lat sześć mi rządy tego kraju oddaje. Choć nowy okres rządowy dopiero z dniem 30 sierpnia się rozpocznie, wraz z składaniem przysięgi na konstytucję, zaczem urzędowo Waszej Świątobliwości donieść mi o tym wypadnie, już dziś czuję potrzebę zgłoszenia się doń, aby Jego błogosławieństwem konieczne sobie światło i siłę zapewnić. W dzisiejszych czasach, kiedy loże masońskie krajów ościennych poduszczane przez Niemcy, ciskają na mnie najsrozsze obelgi i najsromotniejsze potwarze, szukając tylko sposobu jakby mię zgładzić, tym bardziej mi trzeba Bożej opieki, aby żyć i umierać w obronie naszej świętej wiary i tego ukochanego ludu, którym z woli Bożej rządzić mi przyszło. Jakież to dla mnie szczęście, Ojcze Święty, iż jestem znienawidzony i spotwarzony dla miłości naszego Zbawiciela! a stałoby się ono jeszcze nieskończenie większym, gdybym mógł krew swoją wylać za Tego, który na krzyżu swoją do ostatniej kropli za nas wysączył!".

Miał tedy Garcia Moreno przecucie swego losu, a nawet żądę męczeństwa w najświętszej sprawie. Zresztą zewsząd przychodziły ostrzeżenia, iż śmierć jego przez nienawistną sektę nieodwołalnie postanowioną została. Gdy delegat apostolski dla Ekwadoru, Msgr. Serafin Vannutelli przeniesiony do Belgii, przyszedł się z prezydentem pożegnać, Don Gabriel mu oświadczył, iż właśnie otrzymał był pewną wiadomość, jako na walnym zgromadzeniu łóż masonskich w Limie zapadł wyrok jego śmierci. I w Europie sprzysiężenie masonów godziło na to zacne życie. Pewien młody uczoney, z Niemiec przez Garcie Moreno zaproszony do Ekwadoru, przed opuszczeniem Europy wybrał się z pożegnaniem do jednego z swych profesorów. Ten, starzec od dawna z sektą związany, jał mu życzliwie przekładać, iż jeżeli na wezwanie Moreny śpieszy, daremnie przedsięwzięcie podróż daleką. Młodzieniec zrazu nie baczył na te słowa, których znaczenie dopiero wtedy zrozumiał, gdy niebawem nadeszła wiadomość o zamordowaniu prezydenta Ekwadoru.

Tymczasem coraz bliższe i dokładniejsze nadchodziły ostrzeżenia. Szlachetna małżonka Don Gabriela z trudnością mogła zwalczyć rosnący o męża niepokój, i daremnie się siliła na okazywanie mu pogodnego oblicza, podczas gdy ustawiczna troska i trwoga coraz ją dotkliwiej wewnątrz trawiły. Przyszło nawet do tego, iż wskazano prezydentowi gotowego do czynu mordercę. Był to siodlarz nazwiskiem Rayo, niegdyś kapitan i rządca prowincji Napo, którego dla przeniewierstwa Garcia Moreno od służby publicznej usunął. Miał to być człowiek podejrzany i niebezpieczny. Chcąc zbadać istotną prawdę, prezydent kazał go do siebie przywołać, niby dla obstalowania sobie nowego siodła, a w rzeczy samej aby go wypróbować i przeniknąć. Rayo żadnym się nie zdradził słowem. Chociaż więc zauważano wyraźne objawy podziemnych robót, a nad granicą Peruwii snuły się jakieś podejrzane figury, Moreno żadnych nie przedsiębrał środków ostrożności.

Rano dnia 6 sierpnia 1875 r. otrzymał Garcia nowy list zaklinający go, aby się strzegł, bo mu grozi bliski a niebezpieczny zamach. Mężny prezydent pogardliwie rzucił na bok owo pismo, i dalej zajął się pisaniem sprawozdania jakie miał przedłożyć kongresowi, a które się jego testamentem stało. O 1 z południa zawiózł swą małżonkę w odwiedziny do jej sędziwych rodziców, synka zostawiając w domu; nie mógł bowiem przypuścić iż nieprzyjaciele jego potrafią i na niewinne dziecię mordercze podnieść ręce, a jednak dwukrotnie się na to później odważono. Rozstawszy się z żoną, Moreno w towarzystwie swego adiutanta wracał do swej rezydencji w gmachu rządowym. Przechodząc około katedry, gdzie z powodu pierwszego piątku miesiąca dla uczczenia Najświętszego Serca Jezusowego, trwało całodzienne wystawienie, wstąpił aby się pomodlić u stóp ołtarza. Bóg jeden wie co za modlitwa wzbila się po raz ostatni z duszy wiernego sługi Kościoła; tajemnicza ta i gorąca rozmowa z Stworzycielem przeciągała się długo, za długo dla niecierpliwości morderców czyhających na swą ofiarę w pobliskiej kawiarni. Rozstawili się oni niebawem pod filarami gmachu rządowego, a gdy prezydent jeszcze przeciągał swą modlitwę, wysłali doń chłopaczka z wiadomością, iż ministrowie go oczekują z nader ważnymi depeszami.

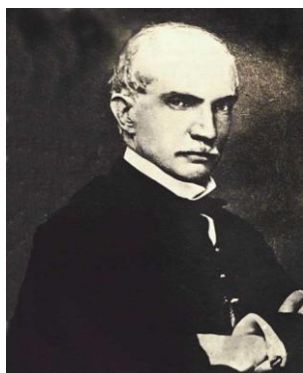
Wstał Don Gabriel, pokrzepiony na duchu, wyszedł z kościoła i zwrócił się ku gmachowi rządowemu. Ulice były puste, jak zwykle, w onej godzinie niezmiernego upału: kilka kroków tylko było do zrobienia przez plac, ponieważ katedra blisko sali radnej się znajduje. W chwili gdy prezydent wszedł na schody prowadzące do drzwi, wychylił się zza filaru Rayo, podchodząc niby z uprzejmym powitaniem. Za ledwie Don Gabriel w nim utkwiał wzrok

przenikliwy, aliści ten niegodziwiec utopił w jego karku nóż wyostrzony. Prezydent, aczkolwiek na śmierć ranny, postąpił o kilka schodów wyżej, atoli mordercy przypadli z rewolwerami i sztyletami, naprzemian kulą i żelazem dobijając swą ofiarę. Garcia Moreno padając pod razami, wsparł się jeszcze dłonią o kolumnę, i gasnący wzrok ku zabójcom zwracając, wyrzekł ostatnie słowo: *Dios no muere!* "Bóg nie umiera", a otrzymawszy jedno jeszcze cięcie w głowę, powalił się na ziemię, obficie już krwią jego zbryzganą.

Tymczasem adiutant prezydenta, straciwszy głowę, a przy tym będąc dnia tego, wbrew prawom służbowym, zupełnie bezbronnym, zamiast piersią swą zasłaniać swego hetmana, wpadł do sąsiednich koszar, aby pomoc przywołać. Sam otrzymał ranę od kuli pistoletowej, ale gdy przypadł z garstką żołnierzy, już było za późno – nurzający się we krwi własnej Garcia Moreno konał. Jednego tylko Rayo pochwycono w ucieczce, a zaciągnąwszy go na miejsce zbrodni, doraźną wymierzono mu karę: rozwścieklony murzyn wystrzałem karabinowym położył go trupem. Dwóch jeszcze spiskowców później ujęto i stracono. Reszta się rozbiegła.

Oddychającego jeszcze prezydenta, mimo dwudziestu dwóch okrutnych ran, złożono na kocu, i przeniesiono do otwartej w pobliżu katedry. Tam u stóp ołtarza, przed którym co dopiero modlitwą się zasiłał, nie przeczuwając, iż była to jego stacja w oliwnym ogrodzie – kapłan dał mu ostatnie rozgrzeszenie i Olej święty, otrzymawszy poprzednio od umierającego rzewne znaki przebaczenia dla morderców. O godzinie 3 Don Gabriel Garcia Moreno raz jeszcze głębiej westchnąwszy, oddał piękną duszę Bogu.

Taka wspaniała, męczeńska śmierć należała się takiemu rycerskiemu i chrześcijańskiemu życiu. Dając życie za Boga i ojczyznę, Don Garcia Moreno padł w chwili spełniania swych obowiązków, po przyjęciu Sakramentów świętych, tuż po gorącej modlitwie, w dniu piątkowym i godzinie, w której Chrystus na krzyżu ducha oddał. Ponad złością ludzką unosiła się Opatrzność i uwieńczyła swego sługę.



Dios no muere, to ostatnie słowo, wielkie i potężne jak życie tego męża, przypominające słowo Archanioła: *Quis est Deus?* – Wy na mnie godząc – mówili tym słowem do wrogów – Bożą sprawę chcecie we mnie zabić; ale Boga nie zabijecie: kruszycie tylko jedno narzędzie Jego, ale wszechmocna Jego prawica wznieci ich ile zechce. Bóg nie umiera i sprawa Boża nie umrze. – Dla nas w szczególności ten testament wielkiego sługi Bożego i sługi ojczyzny, naukę i pociechę zawiera. Wał się raz po raz filary, które w oczach naszych utrzymują stropy królestwa Bożego u nas. Przejmuje nas nie tylko żal, ale nieraz i dreszcz przerażenia, by się gmach nie zawalił. W takich to chwilach zwątpienia niech nam wraca na myśl hasło umierającego Moreny: *Dios no muere!* Boga nie zabraknie, choć ludzkich ubędzie narzędzi – Bóg żyje i złość ludzka go nie dosięże.

Jak dalece cały naród ubóstwiał swego prezydenta, dowiodła rozpacz miasta i kraju. Zaledwie Garcia Moreno zamknął oczy u stóp krzyża misyjnego, który sam na swych barkach przed rokiem zaniósł był do kruchty katedralnej w Quito, aliści głośny płacz wybuchł na ulicach stolicy. Ministrowie, żołnierze, uczeni cisnęli się szlochając do krwawych zwłok zamordowanego prezydenta. Przeciwnicy nawet jego polityczni od łez wstrzymać się nie mogli, wśród objawów powszechnego żalu. Żal ten był tak szczery, tak ogólny, jak po utracie ojca rodziny. Biedni Indianie najgłośniej rozpaczali, czując dobrze, jak sprawiedliwego tracą obrońcę i rzecznika. – "Dopóki ten wielki wódz rządził krajem, i my byliśmy bezpieczni; głośne zawodzili skargi. Szałaszy nasze drzwi nie mają, a nikt nas nie okradł, nikt bydelka nie uprowadził, nikt żniwa nie naruszył. Jeśli nam kazał pracować, suto nasze roboty wynagradzał, próśb naszych słuchał, o biedach radził! Teraz wszystko do dawnego wrócić gotowe porządku!".

Na sercu ofiary nienawiści rewolucyjnych, znaleziono krwią szlachetną zbroszony papier. Był to rękopis mowy, jaką Don Garcia Moreno miał powitać zgromadzone Stany. Wszystkie te jego orędzia mianem: *Mensajes del Presidente del Ecuador al Congreso* oznaczone, tchną stale najgorętszą wiarą i najtrafniejszym rozumem politycznym. Słowa, których nie danym mu było wygłosić, po jego tragicznym zgonie tym większego nabrały znaczenia. Oto główne ustępy owego ostatniego *Mensaje*, tak różnie brzmiące od zwykłych jałowych deklamacyj, zagajających niby od tronu sejmy europejskie:

"Senatorowie i deputowani! Wśród wszystkich wielkich dobrodziejstw, jakie Bóg spuszcza na naszą Rzeczypospolitą w niewyczerpanej miłosierdzia swego obfitości, kładę na pierwszym miejscu szczęście oglądania was połączonych pod Jego opieką, w zupełnym i bezpiecznym pokoju, którego nam Bóg udziela i utrzymuje, choć nie jesteśmy niczym, nie zdolniśmy niczego, nie umiemy nawet odpowiedzieć inaczej, jak niewdzięcznością na niezmiernie i niezasłużone Jego łaski.

Kilka lat temu, jeszcze Ekwador codziennie powtarzał smutne wyznanie, które nasz oswobodziciel Boliwar w ostatnim swym orędziu składał kongresowi z r. 1830: «Rumienię się to powiedzieć i przyznać, ale niepodległość jedynym jest dobrem, któreśmy zyskali kosztem wszystkiego innego».

Atoli odkąd w Bogu złożywszy naszą nadzieję, zboczyliśmy z torów bezbożności i niewiary, którymi dziś świat na oślep pędzi, a w roku 1869 zreorganizowaliśmy się w naród szczerze katolicki, odtąd też wszystko się odmieniło na lepsze i na pomyślność naszej ukochanej ojczyzny.

Ekwador dawniej był ciałem, z którego wycofało się życie; trupa tego ssały owe nieprzeliczone robactwa, które się w nocy grobu i zepsucia lęgnąć mają sposobność. Dziś jednak na głos zwycięski tego, który Łazarza wywiódł z grobowca, i kraj nasz powraca do życia, choć jeszcze nie zrzucił z siebie całunu i związek śmiertelnych, to jest nie pozbył się wszystkich resztek nędzy i rozkładu, będących do niedawna naszym udziałem.

Aby słowa moje usprawiedliwić, wystarczy sprawozdanie pobieżne z postępów dokonanych w ciągu dwóch lat ostatnich, wedle poszczególnych każdego ministerstwa raportów, – a celem zmierzenia tego, co się już dało zrobić, porównamy obecny stan rzeczy z dawniejszym; nie aby siebie chwalić, lecz aby wysławiać Tego, któremu winniśmy wszystko i którego czcimy jako naszego Odkupiciela i Ojca, naszego Opiekuna i Boga".

Tu znajdował się referat z otrzymanych korzyści, w ciągu lat ostatnich, zaczem mówca kończył w tych słowach:

"Zupełnej swobodzie Kościoła w kraju naszym, oraz gorliwości apostołskiej naszych pasterzy zawdzięczamy reformę kleru, poprawę obyczajów, zmniejszenie liczby zbrodni, tak dalece, iż wśród milionowej ludności, nie znajduje się dość przestępców aby zapełnić mury penitencjarii.

Kościółowi również winniśmy owe korporacje zakonne, które wydają tak błogie owoce, bądź dla wychowania dziatwy i młodzieży, bądź w niesieniu pomocy opuszczonym i cierpiącym. Im to zawdzięczamy odrodzenie duchowe w tym roku jubileuszowym, im pozyskanie dla wiary i życia społecznego 9.000 dzikich mieszkańców wschodnich prowincyj, skąd wypadnie tam nowy założyć wikariat apostolski, jeśli mię uprawnicie do wyproszenia tej łaski u Jego Świątobliwości. Naradzimy się następnie wspólnie co zrobić wypada, aby podnieść handel tych prowincyj, wykluczając spekulacje i wyzyskiwania niegodne, na które biedni Indianie są wystawieni ze strony nieludzkich handlarzy. Wszędzie w winnicy Pańskiej robotników za mało; aby ich sobie zapewnić, słuszną jest przyjść w pomoc naszemu czcigodnemu arcybiskupowi, dla ułatwienia budowy wielkiego seminarium, które wznosić rozpoczął, licząc na opiekę Bożą i nasz chętny współdziałanie".

"Nie traćcie nigdy z oka, o prawodawcy! że wszystkie nasze drobne usiłowania pozostałyby marne i jałowe, gdybyśmy nie byli oparli porządku społecznego w naszej Rzeczypospolitej na skale zawsze atakowanej a zawsze zwycięskiej, katolickiego Kościoła. Jego to Boża nauka, której ludzie i narody nie mogą się wyrzec bez zguby własnej, jest regułą naszych instytucyj, prawem praw naszych. Wierni i ulegli synowie nieomylnego arcykapłana, dostojnego starca, którego możni tego świata opuszczają, podczas gdy go nikczemna i podła bezbożność uciska i więzi, nie przestaliśmy ślać mu co miesiąc naszej drobnej ofiary, wedle postanowienia waszego z r. 1873. Skoro słabość nasza skazuje nas na bezczynne z dala przypatrywanie się jego powolnemu męczeństwu, małuczki datek będzie mu przynajmniej dowodem naszej miłości i przywiązania, zadatkiem wierności naszej i posłuszeństwa.

Za dni kilka upłynie sześćoletni mandat, któryście mi powierzyli w r. 1869. Rzeczpospolita używała przez sześć lat pokoju, przerwano go zaledwie przelotną zamieszką w Riobamba, a podczas tych sześciu lat, kraj jawnie szedł drogami postępu, pod wyraźną Opatrzności opieką. Skutki byłyby z pewnością jeszcze pomyślniejsze, gdybym lepsze posiadał zdolności rządzenia, a zwłaszcza gdyby dla spełnienia dobrego, wystarczała gorąca onego żądza.

Jeśli popełniłem jakie błędy, tysiącrotnie was za nie przepraszam, i ze łzami błagam ziomków moich o przebaczenie, zapewniając iż nigdy dobrowolnie zawinić nie chciałem. Jeśli zaś przeciwnie, mniemacie, iż udało mi się cośkolwiek pomyślnie, zasługę tego przypisać chciejcie najprzód Bogu i Niepokalanej Rozdawczyni skarbów Jego miłosierdzia a po wtóre i sobie

samym, ludowi, wojsku, oraz tym wszystkim, którzy w przeróżnych gałęziach administracji, wiernie i mądrze mi dopomagali w spełnianiu trudnych moich zobowiązań".

Quito w sierpniu 1875. *Gabriel Garcia Moreno*.

Orędzie to tchnące taką wiarą, pokorą i siłą, ze łzami żałoby i oraz z zapalem przyjętym zostało przez mieszkańców Ekwadoru. Zajęto się oddaniem ostatniej czci zwłokom wielkiego wyznawcy. Na wspaniale przybranym katafalku stanął w katedrze tron, na którym posadzono zmarłego, w mundur generała i prezydenta Rzeczypospolitej przybranego, z pałaszem przy boku. Ponad żałobną estradą obiegał napis, który niebawem i grób bohatera ozdobił: Odnowicielowi Ekwadoru, żarliwemu obrońcy wiary katolickiej, Gabrielowi Garcii Moreno, wdzięczna na wieki ojczyzna. Obszerny kościół nie mógł pomieścić mnóstwa uczestników pogrzebowego obchodu. Niezapomniany był to widok. Z góry promieniało blade oblicze zmarłego dla sprawy Bożej rycerza, ponura pieśń: *Dies irae* rozbrzmiewała pod sklepieniami świątyni, a tłum w niemej pograżony żalostí, łzawą modlitwą próbował się ukoić.

Rząd Ekwadoru pośpieszył w tej bolesnej okoliczności wydać proklamację, w której czując niejako, że wielkość zmarłego męża przerasta rozmiary małej amerykańskiej Rzeczypospolitej, przemawia w końcowym ustępie do całego świata: "Jako synowie jednego Kościoła zostajemy w świętych obcowaniu w wspólności cierpień, usiłowań i nadziei z szermierzami prawdy, gdziekolwiek się oni znajdują. Jako taki, Garcia Moreno nie jest zaszczytem i własnością samego Ekwadoru, ale cały Kościół się nim chlubi. Wy zaś synowie ziemi, która krwią Garcii Moreno, założyciela naszej wolności i niepodległości użyźnioną będzie, dziękujcie zań Bogu! Wielkiego męża, który tylko dobrze nam czynił, nie ma już pośród nas. Dziś waszym obowiązkiem czcić jego pamięć a dzieło odrodzenia przezeń rozpoczęte dalej prowadzić. Oddaliście mu już hołd łez i bólu, winniście mu dziś naśladownictwo jego wielkich cnót, a mianowicie miłości ojczyzny, gorliwości wiary i wyrzeczenia siebie. Zachowujcież troskliwie każdy w swoim kółku ład i pokój, bo one są podwalinami, na których Garcia Moreno szczęście narodu zbudował, odrzućcie precz od siebie potwór anarchii, spętany łańcuchem i silną Jego nogą zdeptany, bądźcie podporą wiary, którą on całą mocą szlachetnego serca bronić umiał, a wszystkie inne dobra tym obficie wam będą przydane".

I w istocie krew męczeńska Garcii Moreno, wylana przez sektę masońską, aby Kościół nasz pozbawić tak dzielnego sługi, użyźniła ukochaną jego Ekwadorską ziemię. Utrwalił się tam kierunek przez niego nadany, nie upadły jego szlachetne roboty, owszem po dziś dzień ta część Ameryki Południowej nie przestaje stanowić dodatniego wyjątku w ogólnym, bezbożnym świecie nastroju. Następcą Garcii Moreno obrano Dra Antonio Borrero, który rozpoczął swe urzędowanie od własnoręcznego listu do Papieża, z prośbą o apostolskie błogosławieństwo i poparcie. Parlament zaś w grudniu 1875 r. następujące pismo złożył u stóp Piusa IX.

"Ojcze Święty! senatorowie i deputowani Rzeczypospolitej Ekwadoru, rozpoczynając swe obrady w chwili najgłębszej boleści, zapragnęli pierwszą swą czynnością uczcić pamięć wielkiego męża, którego ojczyźnie zbrodnia i bezbożność wydarły. Dziś przy zamknięciu owych narad nie umieliby ich kończyć inaczej, jak okazując się godnymi wielkiej szkoły moralnej, politycznej i religijnej, którą wśród nich założył duch znakomitego Garcii Moreno.

A więc wyznajemy się być katolikami rzymskimi, uznajemy w osobie Waszej Świątobliwości Namiestnika Chrystusowego i nieomylną głowę jedyne prawdziwego Kościoła.

Taką jest wiara nasza, a chcemy aby nasze uczynki, tak w życiu publicznym jak i prywatnym, nigdy z tą wiarą nie były w sprzeczności.

Nasze zasady polityczne ugruntowane są na doktrynie katolickiej, w której odwieczna prawda i odwieczna sprawiedliwość się wcieliły, a która dla narodów jedynym jest źródłem postępu i ustalonej przyszłości. Pragniemy być wolnymi Bożą wolnością; chcemy aby nasze prawa zgadzały się z prawdami ewangelii, aby nasz postęp materialny nie wykluczał obyczajowego postępu, nasz ziemski dobrobyt nie odwracał nas od szukania niebiańskiej szczęśliwości.

Postęp idei przewrotnych, bezbożności i zepsucia wzmaga się i całą ziemię zalewa. Garcia Moreno, ów mąż opatrnościowy, którego wielkość uczciła i wsławiła bezstronna opinia w Europie i Ameryce zarazem, wyteżył wszystkie siły swego geniuszu, aby od tej klęski zasłonić Ekwador: dziś niestety! ten wzniosły i nieznużony pracownik zniknął, i kto wie azali fale tego potopu nie zaleją z czasem i naszej ojczyzny. Przed dniem 6 sierpnia wschodziła jak zorza, świetna naszej Rzeczypospolitej przyszłość, ale zorza ta krwawą zaszła chmurą, i dziś złowrogie znów gromadzą się chmury.

Żywimy niezłomną nadzieję, iż Bóg nie dozwoli aby ten cios, który obecnie nam zadało piekło, zaszkodził powszechnej sprawie krzyża. Przemina ciemności, runie potęga złych, i da Bóg, że się nigdy wśród nas nie rozwiemoży. Alboż krew męczeńska bezpłodną być może? czyliż duch Jego, szczęśliwy u stóp tronu Najwyższego, zapomnieć zdoła swych Ekwadorianów? Nie, to niepodobną byłoby rzeczą! Utwierdzamy się w nadziei, iż zasiane wśród narodu żywioły moralności i rzetelnego postępu nie zaginą, lecz się rozszerzą, i coraz pomyślniejsze warunki przyszłości nam zgotują. A ta ufność nasza rośnie na myśl, iż nam Wasza Świętobliwość nie odmówi swego błogosławieństwa ani mieć nas za najwierniejszych sług Kościoła.

Racz tedy, Ojczyce Święty, błagamy, pobłogosław lud, który się chlubi z swej wiary, szczeni tym, iż do Ciebie należy. Pobłogosław i nowemu naszemu prezydentowi, aby jako katolik prawdziwy, i gorący patriota zdobył sobie wdzięczność Ekwadorianów rządami swymi, tak jak już ich głosy w wolnej sobie zjednał elekcji; błogosław nareszcie i nas, którzy w dniu dzisiejszym opuszczamy dziedzinę prawodawstwa, aby na łono rodzin naszych powrócić".

15 grudnia 1875 (następują podpisy).

Tak się odbywa zgromadzenie prawodawcze katolickiego państwa. Wpływ i duch Garcii Moreno nie przestaje unosić się nad jego umiłowaną ojczyzną. Wprawdzie kilkakrotnie rewolucja próbowała dawny sprowadzić tam zamęt, ale ostatecznie rząd i naród powracały zawsze na tory wskazane przez swego nieśmiertelnego odnowiciela. Pod rządami mianowicie prezydenta Salazara i obecnie rządzącego Caamana, Ekwador nie przestał być perłą wśród innych rządów świata, i godnie nosić swój zaszczytny tytuł: Republiki *del Sagrado Corazon*. Niedawno uchwalono w Senacie wzniesć na najwyższym szczycie Pichinchy, w paśmie Kordylierów, wspaniałą Bazylikę na cześć Najświętszego Serca Jezusowego, której podwaliny założyć chciano w rocznicę męczeńskiej śmierci Garcii Morena. Pomyślność doczesna idzie w parze z niewzruszonością religijnych zasad i robót w tym uprzywilejowanym kraju. Podróżnik znużony nieładem i brakiem bezpieczeństwa, które cechują sąsiednią Peruwią i Kolumbię, z podziwem patrzy na cywilizację, porządek i bogobojność promieniejące z granic Ekwadoru. Różnica poziomu obyczajów od razu bije tam w oczy, duchowieństwo mianowicie, zupełnie inne, aniżeli niestety w ogóle w innych Ameryki stronach. Ludzie tego zakroju nie całkiem umierają, sprawdza się na nich *non omnis moriar* rzymskiego poety. Zasiew ich ducha utrwała się i

przyjmuje, i w długie przechodzi pokolenia jako spuścizna szlachejnych miłośników i szermierzy dobrej sprawy, użyźniona ich znojem i krwią.



Skreśliliśmy ten życiorys, bo należało się wskrzesić u nas z zapomnienia albo raczej z niewiadomości tę promienną postać – bo zwłaszcza, jak wspomnieliśmy na wstępie, życie to jest nauką na dzisiaj, faktem zadającym kłam dzisiejszym błędom o państwie, a świadectwo doktrynie Encykliki. Zły duch czasu usiłuje wmówić w ludzkość, że świat dzisiejszy nie może iść jak dawniej zaśniedziałymi torami, że zgoda i łączność między państwem a Kościołem za dni naszych są utopią. Nieomylny Pasterz głosi przeciwną naukę, rozwijając ideał społeczności chrześcijańskiej. Otóż ten ideał uiszcza i w czynie objawia dzielny prezydent Rzeczypospolitej Ekwadoru, rządząc państwem na zasadach katolickich. W łączności z Kościołem i za jego pomocą dźwiga swą ojczyznę z ostatecznego upadku, podnosi ją ekonomicznie, odradza w niej oświatę, ład, moralność, nawet siłę zbrojną...

A więc i o naszym złym wieku, nie rozpaczać! ale pamiętać, że żyje Bóg, który wskrzesza mężów według serca swego i daje ich każdemu wiekowi i każdemu narodowi, który przez łzy lub cnotę na miłosierdzie Jego zasługuje.
Dios no muere.

M.

Artykuł z czasopisma "Przegląd Powszechny", Rok trzeci. – Tom X. Kwiecień, maj, czerwiec 1886. Kraków. DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI, pod zarządem Jana Gadowskiego. 1886, ss. 1-18; 193-210. (a)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono; ilustracje od red. *Ultra montes*).

Przypisy:

(1) Zob. "Przegląd Powszechny", styczeń 1885. T. V, str. 20.

(2) Zob. "Przegląd Powszechny", czerwiec 1885. T. VII, str. 190.

(a) Por. 1) Abp Emil Guerry, [Kodeks Akcji Katolickiej](#).

2) Ks. Wiktor Cathrein SI, [Katolicki pogląd na świat](#).

3) Ks. Antoni Langer SI, a) [Rozwój wiary](#). b) [Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów](#). c) [Człowiek w stosunku do religii i wiary](#). d) [Św. Tomasz z Akwinu i dzisiejsza filozofia](#). e) [Kardynał Jan Chrzyciel Franzelin i jego znaczenie w katolickiej nauce](#).

4) Bp Michał Nowodworski, a) [Wiara i rozum](#). b) [Liberalizm](#). c) [Chryścianizm i materializm](#). d) [Monogenizm](#). e) [Rekomendacja książki pt. "Homo versus Darwin, czyli sprawa o pochodzenie człowieka"](#).

5) Ks. René-Marie de la Broise SI, [Religia i religie](#).

6) Ks. J. V. Bainvel SI, [Dogmat i myśl katolicka](#).

7) Ks. Franciszek Kwiatkowski SI, [Filozofia wieczysta w zarysie](#).

8) Ks. Piotr Skarga SI, [Żywoty Świętych Starego i Nowego Zakonu na każdy dzień przez cały rok](#).

9) Abp Romuald Jałbrzykowski, [U źródeł sakramentalnych łaski i miłości Bożej](#).

10) Ks. Dr. Mikołaj Gihl, [Ofiara Mszy świętej. Wykład dogmatyczny, liturgiczny i ascetyczny dla duchowieństwa i świeckich](#).

11) Bp Władysław Krynicki, a) [Dzieje Kościoła powszechnego](#). b) [Sobór Watykański](#).

12) Ks. Ernest Jouin, [Papiestwo i masoneria](#).

13) Ks. Tilmann Pesch SI, [Chrześcijańska filozofia życia](#).

14) O. Artur Vermeersch SI, [Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusa w praktyce i w teorii](#).

(Przyp. red. *Ultra montes*).

PRZEGLĄD POWSZECHNY



Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. Ps. 143.

ROK TRZECI. — TOM X.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1886.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.
1886.

([HTM](#))

© *Ultra montes* (www.ultramontes.pl)

Cracovia MMXX, Kraków 2020